

Wrażliwość bez zmiany

Tomasz Stryjek

Nie jest łatwo skrytykować Łukasza Adamskiego. Jego artykuł nie zawiera błędów merytorycznych, wiele ocen ukraińskiego życia politycznego i intelektualnego znajduje potwierdzenie, zaś propozycje działań dla Polski nie powinny być podważane. A jednak w całości tekst ów zdaje mi się być przykładem nie tyle zmiany, co po prostu utraty wrażliwości w polskim podejściu do Ukrainy.

Od dwóch lat czytam na temat stosunków polsko-ukraińskich coraz więcej wypowiedzi sprowadzających się do postulatu, by czynniki oficjalne naszego kraju stosowały ostrzejsze kryteria oceny sytuacji wewnętrznej i polityki zagranicznej Kijowa oraz podniosły poziom oczekiwań wobec wschodniego sąsiada. Muszę jednak przyznać, że nie napotkałem jeszcze wśród nich tekstu tak jednostronnego jak artykuł Łukasza Adamskiego *Zmiana wrażliwości* („Nowa Europa Wschodnia”, 1/2010).

Nie czuję się powołany, by formułować strategię polskiej polityki wobec Ukrainy. Poprzestanę na stwierdzeniu, że debatę o niej uważam za potrzebną, a wspomniany kierunek zmian – w dużym stopniu już zresztą dokonanych – do pewnego stopnia za uzasadniony. Polityka zagraniczna nie jest zajęciem dla pięknoduchów i może być prowadzona różnymi metodami. Chodzi jednak o to, w jaki sposób się ją uzasadnia oraz jak daje się odczuć swoje racje partnerowi. Ostrożność w tej materii jest potrzebna, zwłaszcza gdy operuje się argumentem o zasadniczej błędności obrazu przeszłości w historiografii i pamięci historycznej drugiej strony. Kontrowersje w ocenie przeszłości należą do natury nauk historycznych, dzieląc badaczy nie zawsze zgodnie z kryterium identyfikacji narodowej, toteż interpretacje historyczne wyrażające punkt widzenia jednej „narodowej” historiografii rzadko sprawdzają się w roli instrumentu polityki zagranicznej. Wyjątek stanowią sytuacje, w których albo jedna strona znajduje się całkowicie na łasce drugiej (jak Niemcy i Japonia wobec aliantów po II wojnie światowej), albo – przeciwnie – są w sytuacji w pełni

politycznie i historycznie równorzędnej (jak Niemcy i Francja w połowie ubiegłego wieku). Nie sądzę, aby którakolwiek z tych sytuacji pasowała do obecnych stosunków polsko-ukraińskich.

Stare koleiny

Łukasz Adamski podpisał się pod publikacją jako historyk oraz koordynator programu do spraw stosunków bilateralnych w Europie w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Jego tekst należy więc zarówno do dziedziny opracowań historycznych i politologicznych, jak i do publicznej debaty nad polityką zagraniczną wobec Ukrainy. Ta dwoistość roli wydaje mi się być głównym źródłem nieporozumień, z jakimi wyrażone przez autora stanowisko spotyka się na Ukrainie. Pierwszy sygnał już nastąpił – w następnym numerze „Nowa Europa Wschodnia” opublikowała polemikę ukraińskiego historyka i dziennikarza z Kijowa Romana Kabaczija *Dwie prawdy*, na którą w tym samym numerze odpowiedział Łukasz Adamski (*Ukraina: opowieść o kulturach i tożsamościach*). Kabaczij, choć nie pod każdym względem pozbawiony racji, w imponderabiliach przyjął, niestety, rolę „przypisaną” ukraińskim historykom przez Adamskiego. Przyjrzyjmy się zatem, jaki rodzaj rozmowy proponują ci dwaj analitycy stosunków polsko-ukraińskich.

Trzeba przyznać, że Adamskiego skrytykować nie jest łatwo. Jego artykuł nie zawiera błędów w opisie wydarzeń, wiele ocen ukraińskiego życia politycznego i intelektualnego znajduje potwierdzenie w rzeczywistości, zaś propozycje działań dla Polski – rozpatrywane każda z osobna – nie powinny być podważane przez nikogo, kto zna realia i ma dobrą wolę. A jednak w całości tekst ów zdaje mi się być przykładem nie tyle zmiany, co po prostu utraty wrażliwości w polskim podejściu do Ukrainy. Można go interpretować jako efekt przekonania, że przedstawienie wyraźnych kryteriów pomoże Ukraincom w odnalezieniu właściwej drogi i przyspieszeniu tempa przemian w ich kraju. Jeśli taka była intencja autora, to efekt może okazać się przeciwny do zamierzonego. Wystąpienie analityka reprezentującego zaplecze koncepcyjne polskiej polityki zagranicznej trzeba oceniać według potencjalnych skutków, nie według motywów, lepiej czy gorzej wyrażonych. Pomijając obecne w tekście z reguły elegancko sformułowane zastrzeżenia, mające wskazywać, że autor rozumie trudną sytuację partnera, docieramy do istoty jego stanowiska, które przybiera formę tradycyjnego polskiego paternalizmu, nieobecnego w wypowiedziach na tematy polsko-ukraińskie osób z kręgów państwowych i akademickich przez pierwsze dwie dekady po 1989 roku.

Mimo poprawnej formy i europejskich odniesień, język Adamskiego bardziej przypomina wypowiedzi polskiej historiografii i polityki okresu międzywojennego niż środowiska paryskiej „Kultury” czy polskiej opozycji antysystemowej lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku. W istocie autor, w sposób zapewne

bezwiedny, wpada w stare koleiny polskiego dyskursu wyższości wobec wschodnich sąsiadów. Popiera postulaty tych Polaków, którzy wzięcie przez współczesną Ukrainę odpowiedzialności za zbrodnie UPA z czasów II wojny światowej traktują jako warunek historycznego pojednania. Jednocześnie nie zauważa, że dając wyraz brakowi wiary w możliwości samodzielnego rozwoju ukraińskiej historiografii i debaty publicznej i proponując Polskę w charakterze „nauczyciela”, przyłącza się do oczekiwań tych, którzy chcą od Ukraińców także innej satysfakcji – zaakceptowania ich „młodszości cywilizacyjnej”, czyli „powrotu” do relacji w stosunkach polsko-ukraińskich „zapamiętanych” z okresu międzywojennego.

Nie jest najistotniejsze, czy autor poprawnie przedstawia początek sekwencji wydarzeń, które latem ubiegłego roku doprowadziły do pogorszenia atmosfery w stosunkach wzajemnych. Wyprowadza ją od wypowiedzi szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Wałentyna Naływajczenki z 28 czerwca 2009 roku, przedstawiającej polskie rządy w okresie międzywojennym jako równie antyukraińskie, co rządy nazistowskie i sowieckie. Można się wszak zastanawiać, jakie znaczenie dla takiego rozwoju wydarzeń miała prowadzona w mediach już wtedy od paru miesięcy przez środowiska rodzin ofiar mordów UPA na Wołyniu i w Galicji Wschodniej akcja sprzeciwu wobec decyzji senatu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego uhonorowania Wiktora Juszczenki doktoratem *honoris causa* w obecności prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jakie natomiast – decyzja prezydenta Ukrainy z września 2007 roku o nadaniu Romanowi Szuchewyczowi tytułu Bohatera Ukrainy. Nie najważniejsze jest także to, że Adamski przywołuje symboliczne działania z ostatnich lat, podjęte wyłącznie przez stronę ukraińską (między innymi spór o odbudowę Cmentarza Orłąt, opór władz ukraińskich wobec dążenia Polski do osobnego upamiętnienia polskich ofiar w Bykowni pod Kijowem), których sprawcy nie liczyli się z wrażliwością partnera. Przyjmując rolę antagonisty, niektóre z polskich działań tego rodzaju (zamknięcie Telenowin – programu TV dla mniejszości ukraińskiej w Polsce, przewlekanie sprawy oddania ukraińskiej społeczności Domu Ukraińskiego przez władze Przemysła) przypomniał zresztą od razu Roman Kabaczij.

Bez względu na to, jak brzmi odpowiedź na pytanie „kto zaczął?”, trzeba się zgodzić z Adamskim co do opisu stanu faktycznego – choć w ostatnich latach, zwłaszcza po pomarańczowej rewolucji, dzięki wzrastającej liczbie kontaktów następowało zbliżenie między Polakami i Ukraińcami, to polsko-ukraiński dialog na temat przeszłości znalazł się w impasie, zaś nad przyszłością stosunków wzajemnych zawisła groźba zaprzepaszczenia sukcesów, które udało się osiągnąć w tej dziedzinie do połowy mijającej dekady.

Dialog polsko-ukraiński na temat przeszłości znalazł się w impasie, zaś nad jego przyszłością zawisła groźba zaprzepaszczenia tego, co już udało się osiągnąć.

Kryterium etniczne

Źródeł zasadniczych nieporozumień co do przeszłości dopatruje się Adamski w odmienności historycznych paradygmatów funkcjonujących współcześnie w obu państwach: państwowego w Polsce i etnicznego na Ukrainie. W dużym uproszczeniu opisuje różnicę między dominującymi dziś sposobami konstruowania narracji historycznej w obu krajach. Aby nabrać pełnej adekwatności, opis ów wymaga wielu uzupełnień, w tym szczególnie przypomnienia całego splotu okoliczności XIX i XX stulecia, które wpłynęły na stosunki między narodami – spadkobiercami państw przednowoczesnych, czerpiącymi historyczną legitymizację z rebelii i sprzeciwu wobec starych struktur społecznych i politycznych w Europie. Adamski opisuje wprawdzie, jak doszło do powstania w XIX wieku na ziemiach dawnej południowo-wschodniej Rzeczypospolitej wykluczających się wzajemnie ruchów narodowych polskiego i ukraińskiego, nie pokazuje jednak, że relacje między nimi, a w konsekwencji odmienne paradygmaty w syntezach dziejów ojczystych, ukształtowały się w sposób charakterystyczny dla stosunków między tymi narodami Europy Środkowej i Wschodniej, które przeciwstawnie oceniają wpływ na swe powstanie istniejących tu w epoce przednowoczesnej większych organizmów politycznych. Wystarczy przypomnieć relacje słowacko-węgierskie w świetle dziejów ziem Korony św. Stefana czy albańsko-serbskie oglądane z Belgradu przez pryzmat historii średniowiecznego państwa serbskiego.

Etniczny paradygmat dziejów ojczystych w ukraińskiej historiografii zasadza się – pisze Adamski – na tym, że za podmiot historii uznaje się masy ludności chłopskiej zamieszkujące obszar, na którym w późnym XIX wieku i w wieku XX ukształtowała się i przeważała liczebnie nad identyfikacjami konkurencyjnymi ukraińska identyfikacja narodowa. Wyodrębnienie tego podmiotu, wraz z wytyczeniem jego terytorialnych granic, nastąpiło wskutek operacji rzutowania w głąb dziejów (najczęściej aż do wczesnego średniowiecza) zasięgu występowania oznak ukraińskiej kultury etnicznej z czasów najpełniejszego rozkwitu ideologii narodowych w Europie, czyli mniej więcej połowy ubiegłego stulecia. Konsekwencją takiego podejścia – dodaje Adamski – jest we współczesnej ukraińskiej historiografii uznanie, że „terytorium narodowe” może być ojczyzną tylko jednego narodu, co skutkuje wyparciem poza tok narracji dziejów narodowych wszystkich tych wydarzeń, zjawisk i postaci z przeszłości kraju, które nie spełniają kryterium etnicznego.

Charakterystykę Adamskiego uzupełnijmy o stwierdzenie, że efekty tego postępowania są dwa. Pierwszym jest teleologiczny sposób przedstawiania dziejów: z bezmiaru zjawisk i wydarzeń autorzy wydobywają i nadają sens tym, które można przedstawić jako „ogniwa” jednokierunkowego procesu historycznego, przy czym ostateczny cel owego procesu jest znany odbiorcom od początku lektury – to

powstanie jednoczącego wszystkie ziemie etnicznie ukraińskie suwerennego państwa narodowego (co nastąpiło „dopiero” w 1991 roku). Drugim efektem jest przypisanie ukraińskiej tożsamości na przestrzeni dziejów tak reprezentantom wszelkich grup ludności uznanych za autochtoniczne (to jest jednocześnie słowiańskich i nie-rzymskokatolickich), jak i członkom miejscowych elit, pod tym wszak warunkiem, że nie związali się oni politycznie z państwem, którego centrum władzy znajdowało się poza terytorium współczesnej Ukrainy. Towarzyszy temu esencjonalizacja tożsamości – identyfikację narodową uznaje się za najważniejszy komponent tożsamości jednostki, konstytutywny dla jej sposobu przeżywania świata. Nie trzeba dodawać, że przed XIX wiekiem tożsamość ukraińska we współczesnym sensie, jak wszystkie inne tożsamości narodowe w dzisiejszej Europie, nie istniała, zaś punktem odniesienia identyfikacji ludzi zamieszkujących Ukrainę były: najczęściej przynależność do wspólnoty rodowej, majątkowej i lokalnej (wioskowej, miejskiej), często wyznanie, wykonywany zawód i związany z nim styl życia, znacznie rzadziej – bo tylko w przypadku elit społecznych i nie we wszystkich okresach – region (na przykład zasięg panowania danej rodziny książęcej, województwo w Rzeczypospolitej) czy pewne wartości polityczne uznawane za rodzime (na przykład starszyzna kozacka).

Terytorium a państwo

Skutkiem tego sposobu ujmowania przeszłości jest przede wszystkim rozszczępienie ukraińskości i polskości. Tę ostatnią utożsamia się z jednej strony z obcym, łacińskim kręgiem kulturowym, z drugiej – ze społeczno-politycznym uciskiem, czyli panowaniem szlachty, która napłynęła z ziem dawnego państwa piastowskiego lub pochodziła z miejscowego ludu, lecz go „zdradziła”, włączając się w system polityczny Rzeczypospolitej XVI-XVIII wieku i uczestnicząc w wyzyskiwaniu niższych warstw społecznych. Za zasadę tego rozdziału przyjmuje się nie tyle ściśle rozumiane cechy etniczne jednostki, co jej przynależność do jednej z dwóch kultur: rodzimej wschodniochrześcijańskiej (mieszczą się w niej także wierni Cerkwi grekokatolickiej) i napływowej łacińskiej, a także – choć na drugim planie – jej status społeczny. Podobne rozszczępienie zachodzi między ukraińskością a rosyjskością, z tą różnicą, że w roli kryterium nie występuje tu wyznanie, niewielkie znaczenie ma też pozycja społeczna, a nawet to, czy dana osoba wywodziła się z miejscowego ludu, czy przybyła na Ukrainę z innej części państwa carów; najistotniejsze jest jej uczestnictwo w tworzeniu – uznanego wśród ukraińskich historyków za kulturowo obcy ich ojczyźnie – autokratyczno-imperialnego systemu sprawowania władzy, jaki zapanował stopniowo na większości jej terytorium w XVIII wieku. Dopiero w odniesieniu do drugiej połowy XIX wieku, gdy państwo carskie rozpoczęło politykę

rusyfikacyjną, rozgraniczenie ukraińskości i rosyjskości w historiografii zaczyna nabierać charakteru etnicznego.

Zgodnie z przedstawionym schematem, na zasadzie ściśle etnicznej odróżnia się natomiast w historii Ukrainy ukraińskość od tureckości/irańskości, reprezentowanej przez koczownicze ludy zamieszkujące południe i wschód kraju między połową I tysiąclecia przed naszą erą a XVIII wiekiem naszej ery.

Widzimy w I Rzeczypospolitej promotora zasad współżycia między narodami, przemilczamy jednak, że z powodu waśni religijnej i dystansów społecznych przelano w tym kraju nie mniej krwi niż w innych.

Trzeba jednak zaznaczyć, że w kwestii tej we współczesnej historiografii ukraińskiej toruje sobie drogę argumentacja terytorialna. Pojawiają się propozycje, aby uznać starożytnych Scytów i Sarmatów, a tym bardziej średniowiecznych Pieczyngów, Połowców i Mongołów oraz wczesnonowożytnych Tatarów Krymskich i Turków za taką samą część historii ojczyzny co średniowieczna Ruś Kijowska oraz wczesnonowożytna Kozaczyzna. Jak łatwo zauważyć, rozwojowi tego sposobu myślenia sprzyja fakt, że nie istnieje dziś osobne państwo narodowe, które włączałoby do swej historii ojczyzny dzieje niesłowiańskich ludów żyjących w przeszłości na terytorium współczesnej Ukrainy. Nie jest to jednak w historiografii ukraińskiej zmiana, którą można uznać za dokona-

ną. Na przeszkodzie stoi przede wszystkim niewątpliwy fakt praktykowania przez Chanat Krymski od schyłku XV wieku do początków XVIII wieku procederu masowego uprowadzania w niewolę słowiańskiej i chrześcijańskiej ludności Ukrainy.

Przedmiotem krytyki Adamskiego jest właśnie opisana operacja rozszczepiania ukraińskości i trzech innych kultur występujących w przeszłości na terytorium współczesnej Ukrainy, dokonana przez twórców historiografii narodowej na przełomie XIX i XX wieku. Było to działanie, które z punktu widzenia zasady wielokulturowości wyznawanej we współczesnym świecie jest i nadal będzie kwestionowane. Jednocześnie było ono jak najbardziej typowe dla drugiej połowy XIX wieku i pierwszej połowy XX wieku, gdy powstawały współczesne narody. Sytuacja byłaby inna, gdyby w przeszłości Ukrainy, tak jak w przeszłości Polski, Czech czy Węgier, występowało osobne państwo dynastyczne, które w historii Europy średniowiecznej i wczesnonowożytnej pozostawało głównym czynnikiem kreowania odrębności kulturowej. Wówczas możliwe byłoby oparcie narracji dziejowej na kanwie ciągłości pewnego ośrodka władzy, a wspomniana operacja nie byłaby potrzebna. Przedstawiciele kultur napływowych zostaliby potraktowani nie jako „obcy”, lecz jako „goście”, chyba że w pewnym okresie w przeszłości zdominowałoby rządzenie krajem (tak stało się w historii Czech, dlatego czeska historiografia opiera swą opowieść o historii ojczyzny zarówno na argumentacji państwowej, jak i opisaną wyżej etniczno-kulturowej). Roli takiego państwa nie mogła na terytorium współczesnej Ukrainy

odegrać Ruś Kijowska – średniowieczne władztwo rodziny Rurykowiczów. Obok Ukrainy „należy” ono także do historii Rosji i Białorusi, i to właśnie Moskwa u progu czasów nowożytnych uznała się, a następnie została uznana w świecie, za wyłącznego depozytariusza tradycji tego wspólnego państwa dynastycznego wschodnich Słowian. Historiografia rosyjska dopuszcza dziś „dzielenie się” państwowością ruską istniejącą od IX do XVI wieku z Ukrainą, jednak z reguły pod warunkiem uznania przez historyków ukraińskich wspólnoty losów czy nawet szerzej – wspólnoty cywilizacyjnej łączącej oba kraje także w okresie od końca rządów tej dynastii (1598 rok) po czasy współczesne.

Biorąc pod uwagę charakter procesów narodotwórczych w Europie Środkowej i Wschodniej w wiekach XIX i XX, można przyjąć, że bez rozwoju kulturowego przynajmniej z polskością i rosyjskością oraz oparcia narracji historycznej na terytorium określonym według dwudziestowiecznego kryterium etnicznego historiografia Ukrainy jako historiografia narodowa nie ukształtowałaby się, nie wyodrębniłoby by bowiem przedmiotu jej zainteresowań. Bez tego zaś nie powstałaby ukraińska ideologia narodowa i ukraiński ruch niepodległościowy, a ludność zamieszkująca współczesną Ukrainę nie zachowałaby odrębnych cech kulturowych i w XX wieku uległaby tendencjom asymilacyjnym.

Spadkobiercy herbowych poddanych

Z tej perspektywy pretensje Adamskiego do Hruszewskiego o sformułowanie ponad stulecie temu niesprawiedliwej, zbyt jednostronnej oceny roli Polski i Polaków w dziejach Ukrainy są pozbawione sensu. Co więcej, bezzasadne jest też jego ubolewanie, że współcześni Ukraińcy wolą wyprowadzać swe narodowe istnienie od „tradycji kozaków i ukraińskiego ruchu narodowego (nastawionego w większości antypolsko)” niż od tradycji Rzeczypospolitej. W ten sposób – wyjaśnia Adamski – odrzucają oni „ogromny dorobek kulturowo-cywilizacyjny, który zawdzięczają kilkusetletniej przynależności do państwa polskiego ziem wchodzących dziś w skład Ukrainy oraz obecności kultury wyższej, wykształconej w Rzeczypospolitej” („Nowa Europa Wschodnia”, 2/2010). Jednocześnie autor przyznaje, że na zmianę tego wyboru nie ma szans – jeśli tak, to w jakim celu daje on publicznie wyraz swemu ubolewaniu? Mimo że od czasu powstania ideologii narodowych w naszej części Europy minęło z górą sto lat, sytuacja na kontynencie nie zmieniła się w takim stopniu, by jakiegokolwiek państwo było gotowe zrezygnować z mitów historycznych, stanowiących fundament tożsamości jego obywateli. Zastąpienie narodowych mitów historycznych innymi, „wspólnymi” (które zresztą mogłyby okazać się konstrukcjami zbudowanymi w opozycji do mitów kolejnego narodu) wcale nie jest konieczne dla dalszego postępu współpracy międzynarodowej. Wyjątkiem od tej zasady powinna

być sytuacja, w której mity te opierają się na zbrodniach popełnionych na członkach innego narodu w XX wieku, zwłaszcza jeśli przeprowadzono je planowo i towarzyszyła im nowoczesna ideologia, uzależniająca realizację interesów jednej grupy od całkowitej eliminacji drugiej. Objawiając więc zaniepokojenie niechęcią ukraińskiego państwa i ukraińskich historyków do zajęcia się „ciemną” stroną działalności OUN i UPA, Adamski rzeczywiście wyraża ducha współczesnych stosunków między narodami europejskimi. Nie potrafi jednak przekonująco uzasadnić tezy, że odwrócenie się Ukraińców od Chmielnickiego, Hruszewskiego i całej tradycji walki o niezależność z Rzeczpospolitą od XVII wieku do 1919 roku miałyby w jakikolwiek sposób przyczynić się do pojednania polsko-ukraińskiego.

Etniczno-kulturowe podejście ukraińskiej historiografii przeciwstawia Adamski współczesnemu polskiemu sposobowi konstruowania dziejów ojczystych. Zauważa, że jest on oparty na historii państwa polskiego, którego granice ulegały w przeszłości wielu zmianom i przez większość ostatniego tysiąclecia nie pokrywały się z obecnymi granicami. W związku z tym historiografia polska nie poświęca dziś wiele uwagi losom „polskojęzycznych Mazurów czy Ślązaków”. W przekonaniu autora, pojęcie narodu w Polsce jest „nierozzerwalnie związane z ideą państwa i w najmniejszym stopniu nie odnosi się do pojęcia grupy etnicznej; by mówić o istnieniu narodu dana zbiorowość musi bowiem odczuwać poczucie więzi narodowej i lojalność wobec własnego państwa lub myśleć o jego stworzeniu czy odtworzeniu” („Nowa Europa Wschodnia”, 1/2010). Adamski pisze też o sile przyciągania tak rozumianej polskości w stosunku do Rusinów w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Argumentuje: „Przez wieki polskość miała zabarwienie ideologiczno-polityczne, nie etniczne. Z tego powodu tożsamość ruska miała dla wielu mieszkańców Kresów znaczenie uzupełniające wobec tożsamości polskiej, nie zaś konkurencyjne, choć wedle nacjonalistycznej interpretacji (między innymi współczesnych historyków ukraińskich – przyp. T. S.) »ruskość« oznaczała »ukraińskość«, tyle że pod inną nazwą” (tamże).

Rzut oka na współczesne polskie syntezy dziejów ojczystych pozwala stwierdzić, że w naszej historiografii rzeczywiście dominuje dziś paradygmat państwowy. Jako przykład przywołajmy opracowanie historii Polski sprzed około dekady, autorstwa profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tomie poświęconym dziejom średniowiecznym autor nie traktuje już o losach księstw śląskich i Pomorza Zachodniego po utracie przez władców Polski w XIV wieku zwierzchnictwa nad tymi ziemiami¹. Podobnie przedmiotem zainteresowania autorów tomów o dziejach nowożytnych i okresu rozbiorowego są wyłącznie ziemie państwa polsko-litewskiego w jego ówczesnych granicach (w XIX wieku w granicach sprzed pierwszego rozbioru)². Poza

¹ S. Szczur, *Historia Polski. Średniowiecze*, Kraków 2002.

² M. Markiewicz, *Historia Polski 1492-1795*, Kraków 2002; A. Chwalba, *Historia Polski 1795-1918*, Kraków 2000.

zakresem przedmiotu dziejów Polski od drugiej połowy XIV wieku po pierwszą połowę XX wieku znajduje się więc około jednej trzeciej terytorium współczesnego państwa polskiego – ziemie zamieszkane w tych stuleciach w większości przez autochtonów mówiących gwarami słowiańskimi, nie germańskimi.

Adamski ma więc słuszość, zauważając ważne różnice między dwiema historiografiami. Nie dostrzega jednak, że choć łatwiej obronić przed zarzutem istnienia jedynie w imaginacji historyka państwowy podmiot dziejów ojczystych w historiografii polskiej niż etniczno-kulturowy w ukraińskiej (można tu bowiem mówić o zasięgu oddziaływania woli centralnego ośrodka władzy, nie trzeba się upierać przy istnieniu już w epoce przednowoczesnej „wspólnoty wyobrażonej”), to sam fakt konstruowania opowieści wokół jednego aspektu procesu dziejowego, z naciskiem na wykazanie jego ciągłości (względnie występowania ciągłych dążeń do jego odbudowy, jak w okresie rozbiorowym), powoduje, że także w pierwszej z nich zachodzą oba wspomniane efekty subiektywizacji przedstawień przeszłości. Teleologizacja jest ewidentna, zostawmy ją jednak na boku, można bowiem argumentować, że bez niej niemożliwe jest w ogóle wyodrębnienie przedmiotu badań, a więc i napisanie jakiegokolwiek syntezy dziejowej. U autorów dziejów Polski nadal często zachodzi jednak także esencjonalizacja tożsamości znacznej części mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. Najdobitniej widać ją u samego Adamskiego, który w swym pietystycznym potraktowaniu wpływu rządów „wyższej cywilizacji” na ziemiach „kresowych” od XIV do XX wieku uznał tożsamość Polaków epoki nowoczesnej za bezpośrednią dziedziczkę tożsamości szlachty Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Między sposobem przeżywania świata herbowych poddanych Jagiellonów czy Wazów a współczesną tożsamością polską występuje u niego – podobnie jak w przekonaniach ogółu Polaków – swoiste continuum. Dla reprezentantów tego sposobu myślenia jedyną zmianą w historii tej tożsamości była zmiana ilościowa. W XIX wieku, w obliczu nowoczesności, tożsamość dawnych elit miała niejako „zstąpić” w dół drabiny społecznej i zostać przyjęta przez masy ludowe.

Wielokulturowości nie było

W tym miejscu odsłania się najpoważniejsza niekonsekwencja wywodu autora – nie dostrzega on, że w drugiej połowie XIX wieku polskość także została zdefiniowana na podstawie etnicznej, zaś uznanie przez Polaków dawnej Rzeczypospolitej za część własnej tradycji narodowej, w wersji idealizującej ją jako prototyp wielokulturowej organizacji politycznej, było dodatkowym argumentem w ich walce o własne państwo, mającym w założeniu wzmocnić poparcie dla sprawy „restytucji” niepodległości na arenie międzynarodowej.

W świetle tendencji nowoczesnej historiografii (na którą Adamski często się powołuje) należy przyjąć, że szlachta Rzeczypospolitej nie była jednak wczesną formą narodu polskiego, lecz elitą („narodem politycznym”) państwa stanowego, zbudowanego i zarządzanego ku zabezpieczeniu jej pozycji i interesów. Współistnienie różnych grup kulturowych w Rzeczypospolitej nie wynikało ze świadomego wyznawania zasady tolerancji przez ogół szlachty, lecz ze społeczno-politycznych cech ustroju demokracji stanowej. Przecistawiając się powstaniu silnego ośrodka władzy centralnej, dysponującego administracją zdolną do prowadzenia efektywnej polityki integracyjnej, szlachta przyjęła zasadę swobody wyboru wyznania dla siebie samej, nie ingerowała też w życie wewnętrzne grup wyznaniowych innych stanów (mieszczanie, Żydzi), były one bowiem zbyt słabe, by stanowić dla niej jakąkolwiek konkurencję polityczną. Rzeczpospolita do połowy XVIII wieku była państwem położonym na styku dwóch kręgów kulturowych, do tego zbyt rozległym, zbyt rzadko zaludnionym i o zbyt słabych zasobach gospodarczych, aby mogły się w niej rozwinąć tendencje centralizacyjne i asymilacyjne, które na Zachodzie zaznaczyły się już dwa stulecia wcześniej i których wyrazem były między innymi wojny religijne XVI i XVII wieku. Tendencje te, reprezentowane przez władców o silniejszych osobowościach, doszły w Rzeczypospolitej do głosu wprawdzie już w XVII wieku (dążenie do „konfesjonalizacji państwa”, najbardziej jednoznaczne za panowania Zygmunta III Wazy, można tłumaczyć jako przejaw polityki centralizacyjnej), nie zdołały jednak naruszyć ani uprzywilejowanej pozycji szlachty, ani stosunków zależności funkcjonujących w obrębie tego stanu. Ostatecznie, skutkiem tych dążeń, w Rzeczypospolitej doszło jedynie do wybuchu długotrwałej wojny religijnej i powstania społecznego w postaci serii konfliktów między szlachtą i grupami od niej zależnymi (Żydzi, część mieszczan) a Kozakami w XVII wieku i hajdamakami w XVIII wieku. Atmosfera współistnienia różnych grup kulturowych stopniowo ustąpiła miejsca podejrzliwości wobec nie-katolików (choć raczej tylko wobec tych, którzy posiadali prawa polityczne lub przejawiali aspiracje do ich posiadania). W stuleciach tych postępowała konfesjonalizacja społeczeństwa, nie wzmacniało to jednak państwa i w efekcie nie sprzyjało modernizacji życia społecznego.

Dopiero w epoce stanisławowskiej wśród szlachty zaczęła sobie pomału torować drogę zasada wolności wyborów światopoglądowych dla jednostek (bez względu na status społeczny) oraz koncepcja narodu egalitarnego, obejmującego wszystkie warstwy społeczne. Te pierwsze reakcje elit intelektualnych Rzeczypospolitej na nowoczesność opierały się, jak zresztą w całej ówczesnej Europie, na zasadzie tolerancji wyznaniowej, nadal jednak nie na zasadzie wielokulturowości, wręcz

Zastąpienie narodowych mitów historycznych innymi, „wspólnymi”, nie jest konieczne dla dalszego postępu współpracy międzynarodowej.

przeciwnie – na asymilacji ludności niższych warstw społecznych do kultury dominującej. Wybitny umysł polskiego Oświecenia Stanisław Staszic, notabene przedstawiciel stanu mieszczańskiego, sygnalizował potrzebę objęcia system edukacyjnym ogółu ludności męskiej w Rzeczypospolitej. Wraz z emancypacją społeczną następowałyby jednak także asymilacja, językiem wykładowym byłby bowiem wyłącznie język polski. Zaczął się trwający około stulecia proces przeddefiniowania tożsamości elity dawnej Rzeczypospolitej. Inteligencja, często szlacheckiego pochodzenia, porzuciła szlacheckość i ukształtowała ostatecznie polskość poprzez zjednoczenie z kulturą (etniczną!) ludu zamieszkującego przede wszystkim centralne i zachodnie ziemie tego państwa.

Choćbyśmy nie wiem jak czuli się z tym nieswojo, trzeba przyznać, że w tym procesie przełomową rolę odegrali Jan Ludwik Popławski i Roman Dmowski, ideowi patroni obozu narodowego na progu XX wieku. To oni ostatecznie doprowadzili do rozszczępienia między polsnością a powstającymi równolegle tożsamościami innych narodów zamieszkujących terytorium dawnej Rzeczypospolitej. Nie należy zapominać, że powstała wówczas także alternatywa piłsudczykowska, polegająca nie na rozszczępieniu, lecz na „przedestyłowaniu” tożsamości szlacheckiej w taki sposób, by powstałe skutkiem tej operacji poszczególne elementy „frakcyjne” – tożsamości narodowe – mogły pozostać częściami złączonego węzłem federacji i demokratycznego związku państwowego.

Idealizacja dawnej Rzeczypospolitej

Od początku XX wieku w polskiej ideologii i polityce paradygmat etniczno-kulturowy i paradygmat państwowy (federacyjny) były równolegle wykorzystywane, czasem wchodząc sobie w drogę, czasem – jak u schyłku i tuż po zakończeniu I wojny światowej – uzupełniając się i przynosząc owocne rezultaty dla wyznaczenia granic państwa narodowego. Obóz narodowy i obóz piłsudczykowski (później sanacyjny) rywalizowały o władzę w Polsce międzywojennej, ale choć w latach 1926-1939 bezapelacyjnie zwyciężył ten drugi, nie da się zaprzeczyć, że właściwe endecji myślenie o narodzie w kategoriach etniczno-kulturowych i wtedy, i w okresie po 1945 roku, gdy paradoksalnie jego kontynuatorką okazała się być PZPR, aż po lata siedemdziesiąte w większym stopniu kształtowało tożsamość Polaków. To przede wszystkim argumentacja etniczna zadecydowała o włączeniu w granice Polski w latach 1918-1921 ziem zaboru pruskiego, Górnego Śląska, Wileńszczyzny i części Galicji Wschodniej, natomiast o przebiegu całej granicy wschodniej i zapewnieniu dostępu do morza zadecydowały względy państwowo-historyczne oraz gospodarczo-strategiczne.

Warto w tym miejscu zauważyć, jak różniła się sytuacja sprawy polskiej i ukraińskiej w chwili zakończenia I wojny światowej. Wymieniłem ziemie, których przynależność

do państwa polskiego nie była oczywista, jednak poza wszelką wątpliwością – nie było bowiem argumentacji państwowo-historycznej, zdolnej to zakwestionować – pozostawało włączenie do niego terytorium Kongresówki i Galicji Zachodniej. Takie terytorium, do którego naród miałby „wyłączne prawo”, nie istniało wtedy w przypadku Ukrainy. Inaczej niż polski ruch narodowy, bez oparcia się na paradygmacie etnicznym ruch ukraiński nie mógł dowieść ani istnienia odrębnego narodu, ani prawa tego ostatniego do posiadania jakiegokolwiek części ziem współczesnej Ukrainy. Warto też przypomnieć, że prace programowe polskiego podziemia w czasie II wojny światowej szły w kierunku uzasadnienia przynależności do państwa polskiego ziem sięgających na zachodzie dolnej Odry i Dolnego Śląska, na północy zaś postulowano nawet włączenie całych Prus Wschodnich, jednocześnie na wschodzie nie odstępując od granicy wytyczonej w 1921 roku.

W okresie PRL etniczne rozumienie polskości stało się paradygmatem i polityki wewnętrznej, i zagranicznej, i interpretacji dziejów ojczystych. Aby się o tym przekonać, wystarczy wziąć do ręki wielką syntezę historii Polski z lat 1958-1969 autorstwa profesorów Instytutu Historii PAN, gdzie dzieje ziem nazwanych w 1945 roku „odzyskanymi” w przekroju całego tysiąclecia traktuje się jako równie ważne, co ziem należących do państwa polskiego³. Eksterminacja Żydów w latach II wojny światowej, wymiana ludności między Polską a ZSRR w latach 1944-1946, nieprzypadkowo nazwana „repatriacją”, akcja „Wisła”, a następnie ideologia rządów Bolesław Bieruta i Władysława Gomułki były wydarzeniami towarzyszącymi ostatecznemu okrzepnięciu polskiej tożsamości narodowej. Gdy to się dokonało, od lat siedemdziesiątych nastąpiło odejście elit intelektualnych (opozycja demokratyczna, historiografia) od etniczno-kulturowej koncepcji polskości i przyjęcie przez nie na powrót paradygmatu państwowo-historycznego. Po 1989 roku nabrał on wręcz charakteru doktryny państwowej. W ostatnich dwóch dekadach w tym kierunku zmieniają się także przekonania potoczne. Jednocześnie trwa idealizacja wizerunku dawnej Rzeczypospolitej. Teleologicznie podchodząc do przeszłości, widzimy w tym państwie promotora zasad współżycia między narodami współczesnej Europy, pomijamy jednak fakt, że z powodu waśni religijnej i dystansów społecznych przelano w tym kraju nie mniej krwi niż swego czasu w innych krajach Starego Kontynentu.

Dopiero w świetle tych wyjaśnień czytelnik tekstu Adamskiego powinien wyrobić sobie pogląd na temat tego, która „z tych interpretacji: ukraińska, oparta na założeniach politycznego nacjonalizmu (swoją drogą, politycznego czy etnicznego? – przyp. T. S.) i ciągłości istnienia tożsamości narodowej w historii, a także wyłącznych praw jednej grupy etnicznej do danego terytorium, czy też polska, uwzględniająca złożony proces kształtowania się świadomości narodowej oraz

³ *Historia Polski*, t. I-IV, red. T. Manteuffel, Warszawa 1958-1969.

spontaniczność i dobrowolność procesów akulturacyjnych, jest bardziej przekonująca” („Nowa Europa Wschodnia”, 1/2010). Nie sposób zaprzeczyć, że byłoby z korzyścią dla stosunków międzynarodowych, gdyby historycy zwaśnionych narodów przyjęli preferowany przez autora model interpretacyjny. W dużej mierze jest to jednak model ukształtowany pod wpływem wartości szeroko wyznawanych dopiero w epoce ponowoczesnej, dość szeroko w Polsce uznawany za wierne odzwierciedlenie rzeczywistości historycznej na obszarze ziem Rzeczypospolitej od XIV do XIX wieku. O ile można zgodzić się, że konwersje wyznaniowe i zmiany kulturowe następowały wówczas najczęściej w wyniku suwerennych decyzji jednostek, o tyle akulturacja często okazywała się jednak asymilacją i wiązała się z szybkim awansem społecznym, co pociągało za sobą wzrost niezadowolenia społecznego. Gdy nadeszła nowoczesność, obie strony weszły w ostry spór o granice „terytorium narodowego” i zastosowały wzajemnie kryteria rozszczepienia kulturowego.

To od ukraińskich historyków, a nie od polskiej dyplomacji kulturalnej, będzie zależał wynik toczącej się dziś na Ukrainie „walki o pamięć”.

Problem z odbiorem stanowiska Adamskiego na Ukrainie wynika nie tylko z wyżej przedstawionych uproszczeń interpretacyjnych i terminologicznych oraz jego skłonności do wartościowania wpływów cywilizacyjnych w historii tego kraju, lecz także z jego zbytnej wiary w siłę oddziaływania „polskiej dyplomacji kulturalnej” nad Dnieprem oraz niedoceniaania ukraińskich elit intelektualnych jako partnera dialogu polsko-ukraińskiego. Za główny cel polskiej aktywności Adamski stawia „kształtowanie propolskich elit na Ukrainie, w tym historyków wolnych od antypolskich resentymentów oraz sowieckich i nacjonalistycznych wyobrażeń o współżyciu w przeszłości Polaków z Rusinami, a potem z Ukraińcami” („Nowa Europa Wschodnia”, 1/2010). Przedstawia cały katalog sposobów kształcenia ukraińskich historyków z udziałem polskich badaczy oraz z wykorzystaniem środków państwa polskiego. Nikt nie zaprzeczy, że cenną inicjatywą byłoby na przykład powołanie Polskiego Instytutu Historycznego w Kijowie, trudno jednak będzie zatrzeć wrażenie, jakie powstaje po lekturze tego tekstu, że zdaniem reprezentanta Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych ukraińskich partnerów do dialogu Polska będzie musiała sobie dopiero „wychować”. Również propozycja „promocji” (dosłownie!) pewnych postaci z dziejów Ukrainy, „które Polsce bądź sprawie polskiej wyświadczyły wiele zasług, a w naszym kraju wciąż nie są wystarczająco znane” („Nowa Europa Wschodnia”, 1/2010) – autor wymienia Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego, Symona Petlurę i Iwana Frankę – z jednej strony trąci paternalizmem, z drugiej brakiem świeżości; dwóm pierwszym z nich poświęcono już bowiem wiele uwagi na wspólnych polsko-ukraińskich konferencjach naukowych w pierwszej dekadzie po 1989 roku.

Granice pola działań

Moja krytyka nie ma na celu uzasadnienia poglądu, że państwo polskie w dziedzinie badań historycznych i upamiętnienia przeszłości na Ukrainie nie ma nic do zrobienia. Przeciwnie, sądzę, że jego zadaniem jest uparcie negocjować z władzami ukraińskimi prawo do godnego upamiętnienia ofiar zbrodni na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, domagać się, by nie uczestniczyły one w jednostronnej heroizacji OUN i UPA (chodzi nie tylko o fatalną decyzję prezydenta Juszczynki o nadaniu Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy, ale także o ocenę wydarzeń z lat 1943-1947 w podręcznikach szkolnych), oferować wsparcie fachowe i finansowe ukraińskim inicjatywom konserwowania dziedzictwa przeszłości na terytorium całej Ukrainy, wreszcie współorganizować badania naukowe i wymianę edukacyjną na wszystkich szczeblach – od szkół podstawowych po uniwersytety i akademie nauk. Ważne jest natomiast, aby realizując te zadania, nie doprowadzić do marginalizacji tych – jak ich trafnie nazywa autor – „historyków i intelektualistów ze Lwowa i Kijowa, którzy starają się oddzielić naukę od zapotrzebowania społeczno-politycznego na określoną wizję przeszłości i są wolni od traktowania narodu jako jedyne przedmiotu badań historycznych” („Nowa Europa Wschodnia” 1/2010). To od nich bowiem przede wszystkim, a nie od polskiej dyplomacji kulturalnej, zależy, jaki będzie wynik toczącej się dziś na Ukrainie „walki o pamięć”.

Wydaje się też, że w swej analizie Adamski nie docenia wyzwania, z jakimi zmagają się dziś otwarcie myśląca część ukraińskiej inteligencji. Problemem równie ważnym co powstrzymanie odradzania się integralnego nacjonalizmu w zachodniej części kraju jest wszak desowietyzacja przestrzeni publicznej na wschodzie i południu oraz upowszechnianie wartości, które pozwolą Ukraińcom na bardziej pogłębioną ocenę imperialnej i totalitarnej przeszłości ich ojczyzny. Nie uwzględnia on także tego, że wzrost w ostatnich latach popularności narracji historycznej jednostronnie heroizującej OUN i UPA to – paradoksalnie z polskiego punktu widzenia – nieuchronny efekt pomarańczowej rewolucji, która zdemokratyzowała nie tylko ukraińską politykę, ale i media. W obliczu ekspansji Internetu – medium, które nie stwarza mechanizmów kontroli jakości publikacji – ukraińscy intelektualiści stoją wobec takiego samego problemu jak polscy: jakiego języka używać, by przeciwdziałać sile oddziaływania tekstów nieinformujących rzetelnie o przeszłości, a wywołujących jedynie dumę młodego pokolenia z rzekomych dokonań przodków.

Polemista Łukasza Adamskiego, Roman Kabaczij (notabene absolwent Polsko-Ukraińskiego Kolegium Uniwersytetów w Lublinie), w ogóle nie ustosunkował się do głównego zarzutu nieopracowania w pełni przez ukraińską historiografię i niepodjęcia przez państwo ukraińskie właściwej oceny zbrodni UPA na Polakach na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1944. Odnosząc się do faktu przywołania

przez polskiego autora wypowiedzi dokumentujących utrzymywanie się na zachodniej Ukrainie, także w oświadczeniach władz samorządowych, uprzedzeń wobec Polski oraz pokazujących niezdolność uczestników tamtejszych debat publicznych do przyjęcia krytyki nacjonalistycznego myślenia, Kabaczij ograniczył się do bagatelizującego stwierdzenia, że „Adamski różnego rodzaju prowokacje albo polityczne deklaracje, które mają znaczenie tylko w dniu, w którym zostały wypowiedziane, traktuje jako oficjalne stanowisko ukraińskiej historiografii oraz dowód jej zacofania”. Niestety, Kabaczij podjął się roli, której odegranie wręcz ułatwia przeciwnikowi potwierdzenie zarzutów pod adresem ukraińskich historyków. Na przykład uznał za całkowicie bezzasadną uwagę Adamskiego, że współczesnym Polakom trudno zaakceptować często używany w ukraińskich podręcznikach termin „okupacja” w odniesieniu do międzywojennych rządów polskich na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Trzeba się tu zgodzić z polskim autorem, że należałoby poszukać innego terminu, oddającego jednocześnie fakt, że przedstawiciele obu narodów mieli wówczas prawo uważać te ziemie za swoją ojczyznę, jak i to, że Polacy byli tam wówczas stroną uprzywilejowaną, a państwo polskie zignorowało międzynarodowe zobowiązania co do warunków administrowania Galicją Wschodnią.

Polemika Kabaczija ma však jedną zaletę. Pokazuje, jakie są granice pola, na którym można w stosunkach polsko-ukraińskich pracować nad wspólnym stanowiskiem w ocenie przeszłości. W zakończeniu Kabaczij stwierdza, że „tylko odnosząc się z szacunkiem do wspólnej historii, nasze narody mogą brać udział w procesie pojednania. Czy jest to możliwe? Jeden z narodów miał w swej historii okres »bezzaństwowości«, drugi był regionalnym mocarstwem. Nowe pokolenia muszą umieć stanąć ponad podziałami”. Moim zdaniem, Adamski posunął się w swej krytyce na tyle daleko, że nie zdołał wykazać empatii wobec partnera, mającego prawo do własnego spojrzenia na przeszłość, nawet jeżeli jest ona częścią dziedzictwa sąsiedniego narodu. Z odmiennością naszych spojrzeń być może będziemy musieli żyć już zawsze. Ale dla rozwoju stosunków polsko-ukraińskich, tak na poziomie państw, jak historiografii, nie potrzeba uzgodnienia obrazu całej historii – wystarczy porozumienie w sprawie oceny wydarzeń lat trzydziestych-czterdziestych XX wieku. 🏰

Tomasz Stryjek jest historykiem. Pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykłada na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wydał między innymi *Jakiej przeszłości potrzebuje przyszłość? Interpretacje dziejów narodowych w historiografii i debacie publicznej na Ukrainie 1991-2004* (Warszawa 2007).

Czytaj też rozmowę z ukraińskim historykiem Heorhijem Kasjanowem na stronach 125-138 oraz list do redakcji na stronie 215.

Tekst Łukasza Adamskiego i inne głosy w dyskusji dostępne są na www.new.org.pl.